



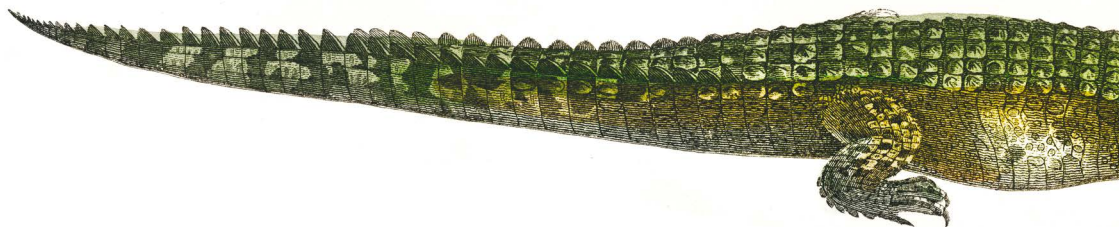
Nie krokodyluj!

O drodze

Ludwika Zamenhofa

do języka esperanto

Agnieszka
Frączek



Agnieszka Frączek

Nie krokodyluj!

O drodze Ludwika Zamenhofa do języka esperanto

© by Agnieszka Frączek

© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje: Joanna Rusinek

Korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I, Łódź 2024

ISBN 978-83-8208-237-1

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl



Jak gęś z prosięciem

– Rozmawiają jak gęś z prosięciem – sarkał Ludwik, przechadzając się pomiędzy straganami białostockiego targowiska.

Ależ tu kolorowo! W wiklinowych koszach, obok ognistoczerwonych jabłek tłoczyły się rude marchewki i blade pietruszki, każda ze zmierzwioną zieloną fryzurą. Na łąwach wylegiwały się pęta kiełbasy, jaja i sery, w kubłach i beczkach leniwie moczyły się śledzie. Obrażnik¹ podparł

¹ Obrażnik – wędrowny sprzedawca obrazów, przeważnie religijnych.

o ścianę szynku długi rząd świętych obrazów i obrazków, obok jakiś przekupień ustawił skleconą naprędcę skrzynię z ptactwem, a ktoś inny swój cenny towar – watowane kołdry – ułożył wprost na bruku. Tu i ówdzie dumnie prezentowały się szuwaksy do czyszczenia butów, szczotki i mydła, brzytwy i grzebienie, szelki i kalesony.

Wzrok kupujących przyciągały ułożone na słomianych matach albo kulawych taboretach warząchwie, laski, fujarki, agrafki i szpilki do włosów, nici, igły, scyzoryki... Drzewo, zboże i ziemniaki sprzedawano wprost z chłopskich furmanek. Pachniało kapustą i sianem, koprem i chlebem z cebulą.

Ludwik z zaciekawieniem wpatrywał się w tłum. Obserwował właścicieli wzorzystych chust, kapeluszy z rondem i baranich czap; przechodniów odzianych w mundury, siermięgi² i długie barwne suknie; klientów wystrojonych w kożuchy, tabaczkowe spencery³ i jaskrawe spódnice.

² Siermięga – krótki płaszcz z grubego materiału, noszony w dawnej Polsce przez chłopów.

³ Ubiór męski z połowy XIX w. przypominający frak z obciętymi połami.



– Jaki ten świat jest ciekawy! Tylu tu ludzi, a każdy inny – wzdychał. – Na dodatek te fascynujące dźwięki!

Rzeczywiście, wśród setek towarów, oferowanych na targowisku, brakowało tylko jednego: ciszy. Gwar nie milkł od świtu do zmierzchu. Po mieście niosły się kurze, kacze i gęsie przekomarzania, w krąg rozbrzmiewał turkot toczących się po bruku furmanek przeplatany dźwiękami towarzyszącymi popisom ulicznych grajków i nawoływaniom przekupniów, zachwalających swoje towary:

– Proszek na rusy, proszek na szwaby, proszek na wszelkie owady!

– Ooolejek taninowy przeciw wyłysieniu!

– Cygaretki, laski, pularesy, pantofle pokojowe, ka-
looosze!!!

– Towary łokciowe⁴, białe i kolorowe!

– Pomady na mocny pejs i wąs sumiasty, pomaaady!

– Biusthaltery patentowane!

Rynek huczał, krzyczał, dudnił, turkotał, zgrzytał, nawet piał i gdakał. Targowano się, sprzedawano, kupowano i... kłócono. W dodatku kłótnie te prowadzone były w różnych językach: Jacob Zylberfenig, brodaty Żyd, obnoszący po targowisku tandetę⁵, pokrzykiwał w jidysz na rosyjskiego przekupnia, który ustawił mu tuż pod nogami kubeł ze śledziami. Sprzedawca guzików, niejaki Anton Jarmołajew, wygrażał po białorusku zażywej damie,

⁴ Towary sprzedawane na łokcie (dawna jednostka długości).

⁵ Dawnej: rzeczy używane.

gdyż ta, ledwie zerknąwszy na jego towar, pokręciła nosem, mruknęła coś po polsku i odeszła z dumnie podniesioną głową. Miejscowy Tatar urągał w swoim dziwnym języku drobnemu złodziejaskowi, za co został obrzucony porcją nienawistnych spojrzeń i stekiem wyzwisk... chyba po litewsku? Nad tym wszystkim królował przenikliwy kobiecy głosik, płynną niemczyzną zachwalający falbaniaste pantalony.

Obfitość dźwięków, różnaitość języków i bezlik słów na ulicach Białegostoku zachwycaly Ludwika. Nie rozumiał tylko, po co i o co oni wszyscy nieustannie się kłóca. Poważni handlarze i drobni przekupnie, zamożni klienci i biedni gapie, przechodnie... W dodatku podczas sprzeczek, pewnie z braku słów, wymachują rękoma, wygrażają sobie pięściami, robią groźne miny, nawet tupią i podskakują ze złości*. Nie lepiej chłonać barwy, dźwięki i smaki targowiska?

– A może... – dociekał Ludwik – może przyczyną ich sporów jest właśnie ta różnorodność?

*** Słodcy byli i mili
jak papryczki chili.**



– Kiedyś ich wszystkich pogodzę! – postanowił wreszcie. Tylko jak...?

Językowy galimatias

Urodził się w Białymstoku w drewnianym domu u zbiegu dwóch wąziutkich ulic: Zielonej i Białej. No tak – myślał czasem, gdy podrósł już na tyle, by bez trudu odczytać litery z umieszczonych na rogach ulic tabliczek – w tym mieście⁶ nawet ulice muszą mieć kolorowe nazwy! Nosił imię Ludwik, choć, jeśli dobrze pamiętał, w dzieciństwie wołano na niego również Lejzer, Eliezer, a czasami nawet Łazarz. Językowy galimatias!

Ludwik bardzo wczesnie nauczył się czytać. I od razu pokochał książki! Pożerał je, jak mawiał Marek Zamenhof, tata Ludwika, w ilościach hurtowych.

Przez pewien czas jego ulubioną lekturą była Biblia. Ciężką, grubą księgę w aksamitnej oprawie zdjął z regału domowej biblioteki. Czytał Biblię, tak jak się czyta powieści przygodowe – podążał za fabułą, śledził losy bohaterów, w wyobraźni malując scenerię każdej przedstawionej w Biblii historii. Ile tam było zadziwiających zdarzeń! Ile mrozących krew w żyłach scen! Ile tajemnic!

⁶ Nie przypuszczał, że kiedyś w Białymstoku będzie się można przespacerować ulicą Ludwika Zamenhofa lub odpocząć na skwerze jego imienia.

Naj, najbardziej frapowała Ludwika opowieść o pewnej nigdy niedokończonej wieży. Czytał tę historię z wypiekami na twarzy raz, drugi, siedemnasty...

Czytał, a potem opowiadał ją młodszemu rodzeństwu: Sarze, Fani, Auguście i maleńkiemu Feliksowi:

Działo się to dawno, dawno temu – mówił – w krainie, zwanej Szinear. Na rozległej równinie spotkali się raz ludzie z różnych zakątków świata. Z początku zerkali na siebie nieśmiało i ostrożnie rozglądali się po okolicy. Ale szybko poczuli się pewniej:

– Zbudujemy wieżę! – postanowili.

– Ogromną, największą na świecie! – wołali jeden przez drugiego.

– Będzie sięgać nieba! – szeptali z entuzjazmem.

– I wszyscy w niej zamieszkamy. Wszyscy!

Od razu przystąpili do pracy. Wstawali przed świtem i codziennie ramię w ramię ruszali na budowę. Dogadywali się świetnie – mieli przecież wspólny cel, a przede wszystkim, choć przybyli z różnych stron, mówili w jednym języku.

Dzięki ciężkiej pracy i porozumieniu budowniczych wieża szybko pięła się w górę. Rosła jak na drożdżach!

Ale pewnego dnia...

Ludwik przerwał opowiadanie i przez chwilę w zamyśleniu gładził aksamitną, czerwoną okładkę Biblii.



Dlaczego Bóg to zrobił? Jak mógł?! – dumiał. Z gorzkich rozmyślań wyrwały go głosy sióstr:

- A dalej?
- Co było dalej?
- Ludwisiu, nie bądź taki... opowiadaj! – prosiła najstarsza z nich. Sara, wątła i chorowita, miała podobnie

jak Ludwik otwartą głowę i tak samo jak brat ciekawa była świata. – Czy wieża urosła aż do nieba? I ludzie mogli zaglądać do okien Bożi? – chciała wiedzieć.

– Dalej nie było już nic. Pan Bóg się zdenerwował i przerwał budowę wieży.

– Ale jak to?

– Dlaczego?

– Tak nie wolno! – gorączkowały się dziewczynki. A małeńki Feliks podkreślał każde ich słowo, sepleniąc* coś po dziecięcemu i stukając w podłogę drewnianym klockiem. Jednym z tych, z których obaj bracia tak lubili budować warowne zamki i pałace z wieżami, hen, do nieba.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze. – Może niechący? Albo przez pomyłkę?

*** Gdyby malec się nie lenił,
toby SOBIE, nie SE plenił.**

